

Alliance... po XX wieku. Próba zapisu fragmentu historii

ROMAN WYBORSKI

Lata 70. Pani Halina Skibniewska, wicemarszałek Sejmu, w kularowej rozmowie zagaduje katowickiego tow. posła i zadufanego samodzierżcę Górnego Śląska, mniej więcej w duchu: *jak to może być, tow. Grudzień, że u Was jeszcze nie ma aljansfransez*. Fonetyczną zagadkę *aljansfrans* Grudzień przekazuje tow. rektorowi Rechowiczowi. Gdzież historyk ruchu robotniczego miałby to usłyszeć..., więc tow. rektor Uniwersytetu Śląskiego, zagadkę zadaje tow. Lubasiowi, dziekanowi filologii (nb. na czele tzw. uczelnianej POP – „grupy trzymającej władzę”), któremu romanista tow. Abramowicz wyjaśnia *Alliance Française* (dalej AF). Zanim nastąpi zwrotna wstępna zgoda wymienionych „instancji” zza kulis na proscenium wyjdzie tajemnicza pani de Bénouville. Tu dłuższa anegdota.

Półoficjalny tytuł tej postaci to delegat AF na Polskę. Tytuł ów wymyślił był długoletni nr 1 paryskiego AF, sekretarz generalny Marc Blancpain, wspólnie ze swoim przyjacielem generałem de Bénouville (prawej ręki p. Dassa, producenta floty powietrznej Republiki, obu znaczących sponsorów Stowarzyszenia AF), od czasu wojennego Ruchu Oporu męża dzielnej Géorgine, atrakcyjnej córki „białych” uchodźców z bolszewickiej Rosji. Nie siląc się na aluzje do późniejszych przygód pozamałżeńskich tej – wtedy – pięknej pary, obojgu odpowiadała aktywność, hm, pozaparyska, a nawet pozametropolitalna zaborczej Hrabiny, jak ją nazywano w stolicy „kochanej Polski”. Zatem przybywszy z wizytą do Monsieur Grudnia *owijała Go sobie naokoło palca*, jak to określił tłumacz i radiowiec Eugeniusz Łabus, dodając, iż obecni tłumili w sobie śmiech na widok kacyka bezradnie ogłupiałego wobec nawałnicy komplementów prawdziwej damy. Skutek oczywisty. Niebawem, prawie pół wieku temu zaistniała pierwsza w kraju i tzw. demoludach placówka AF „przy Uniwersytecie Śląskim”.

Zanim do niej powrócimy nieco szersze tło. Tytuł dotyczy francuskiego „aliansu” w jednym z kilku znaczeń w ub. wieku najpierw rozpowszechnionych, potem wypieranych i w końcu wypartych, jak wszystko, przez anglo-amerykańskie najpierw brzmienie, potem polityczno-militarny przymus przynależności do tzw. Sojuszu, który formalnie i „wizerunkowo” zachował, bodaj jako jedyny, oba anagramy – założycielskie! – pisowni ang. NATO i fr. OTAN (co do „wspak” można by dowolnie żartować). Niecałe pół wieku temu w latach siedemdziesiątych, skrótko i słusznie zwanych gierkowskimi, franko-filskie biografie na czele z ówczesnym „tow.”

decydem nr 1 umiejętnie wykorzystywano do rozpowszechniania wpływów francuskich, m. in. w szkolnictwie. Raczujący Uniwersytet Śląski otwiera w 1973 roku neofilologie z romańską, oczywiście, a niecałe trzy lata później pierwszy przyuniwersytecki – w Polsce i w krajach zaprzędanych przez Aliantów, *nomen omen*, sowieckiemu coraz mniej krwawemu bolszewizmowi – Ośrodek *Alliance Française*, po którym powstała podobna w miastach oczywistych wpływów germańskich, co samo w sobie znaczące: Wrocławiu, Łodzi, Gdańsku, Poznaniu, itd. Kolejną falę frankofonii i – filii przejmie pokolenie ostatniej uwolnionej dekady XX wieku, choćby w zinstytucjonalizowanej postaci wyższych szkół: handlowej z Tuluzą i politologicznej z Bordeaux, dość spektakularnych katowickich realizacji brukselskiego Tempusa, „domu Saint Etienne” i rządowej paryskiej fundacji p. de Chalendar, by tylko o nich wspomnieć.

Takie uwikłanie katowickiego zakątka Europy w geopolitykę ma swoje racje historyczne. W skali mikro wypada przypomnieć fakt zaistnienia choćby tegoż AF w Katowicach w 1938 roku; nb. od pani Schreiber, pół wieku temu lektorki j. niemieckiego w śląskim Wyższym Seminarium Duchownym dostałem jej cenny zeszyt z ówczesnego kursu. W skali makro byłoby to stulecie historycznych dat dla Górnego Śląska: od pozytywnie i decydująco ochronnej roli francuskiego korpusu plebiscytowego po jedną z pierwszych umów między państwowych Drugiej RP z rządem francuskim na rzecz zapewnienia pracy i godnego życia (szkoła, lekarz, kościół) dziesiątkom tysięcy rodzin górniczych w prawie wszystkich zagłębiach węglowych Francji, podstawie trwałej prawie milionowej mniejszości polskiej. Z kolei o kłopotliwym – by rzecz ująć jak najostrożniej – znaczeniu brzmienia *alianse* świadczą desygnaty – lub ich brak – wojskowe i polityczne przed, w czasie i po wojnach „polskich” XX wieku, skutkiem których Alianci podpadają pod publicystycznie wygodne określenie *kontrowersyjne* aż po ...zamach stanu we wrześniu 1939 roku, którego skutkiem uchodźcze władze RP na terytorium Francji zostały osobowo skonstruowane z udziałem dyplomatów w Bukareszcie zgodnie z życzeniem Paryża. Pozostając jeszcze chwilę we wstępie zgłoszonej więzi języka i cywilizacji warto uzmysłowić tak właśnie brzmiące pierwotne znaczenie polskiej obrączki, symbolu – niegdyśszej? – trwałości małżeństwa i fundamentu rodziny. Osobny akapit uzasadni „niegdyśsze” wtrącenie, istotne dla pozorów traktatowej wzajemności.

Niejeden kameralny koncert – organizowany przez Alliance – francuskich solistów w ówczesnej wyższej szkole muzycznej u rektora Góreckiego kończyły rozmowy, w których równi klasą gościom muzycy katowiccy (choćby z Kwartetu śląskiego) słusznie pytali w duchu wzajemności sojuszniczej: a kiedy nasze koncerty u nich? „Kiedy” oznaczało najpierw ćwierć wieku i całkowitą zmianę ekonomiczno-politycznej mapy Europy, co podpada pod nasze, *nomen omen*, *propos* o tyle, o ile, *primo*, języki francuski (de Gaulle się w grobie przewraca) i polski równie łatwo „nizowo” ulegają anglo-pidżinowi, a *secundo*, np. muzyka (by nawiązać do poprzedniego wątku) się rozpowszechnia rynkowo i samoistnie. Tu nawiązałbym do de Gaulle’a (nb. któremu za mało się pamięta „Zabrze”), zbyt często w Polsce obrażanym *czarlsem*, a nie byłby to ani jedyny, ani najdotkliwszy skutek anglo-walca, który „przejechał i wyrównał”...

Jak wyżej podkreślono wypada osobno – metodą kartezyjską, jakby nie było... – potraktować język i „cywilizację”. Osobno znałyby też stopniowo: akces do rzeczonyj cywilizacji uzasadnia zaawansowana biegłość w języku cyzelowanym przez stulecia a w ostatnim, XX-tym równolegle i oddolnie „korumpowanym”, uproszczanym tj. redukowanym do zdań prostych (okólnik administracyjny lat 70. zakazywał zdań złożonych, niezrozumiałych dla petentów, nie tylko imigranckich). Jakież wstąpienie do cywilizacji zapewniałby umowny „pierwszy stopień” w co najmniej trzy – a nawet sześciostopniowej gradacji kursów? Żaden. Kolejne rezygnacje – ponad połowy kursantów – z wyższych stopni oznaczają także rezygnacje z akcesu do osławionej cywilizacji, nb. w pokoleniowym międzyczasie zastąpionej przez atlantycką. Wszak to właśnie od lat 90-tych udowadniaли sami Francuzi wdający się w „biznes” polski. Agonii dopełnił internet. Po niemieckim francuski fundament Europy przestawał podtrzymywać wielowiekową i co najmniej dwujęzyczną tożsamość kulturową.

Język niemiecki przywołałem w nawiązaniu nie tyle do myślowickiego „trójkąta trzech” zaborców porozumiewających się wówczas po francusku (!) ile do wstępnego półwiecza śląskich neofilologii. Tamże tylko jedna – dla przyszłych romanistów i germanistów – komisja egzaminacyjna przyjmowała dokumenty maturzystów 1973. Jako jej sekretarz z pewnym zdziwieniem (i efektem pewnego stereotypu spoza Śląska) rejestrowałem nikłą katowicką, szerzej śląską proveniencję kandydatów zdominowanych

przez licealistów zagłębiowsko-częstochowskich. Niebawem ignorant wiedział, iż język niemiecki dopuszczono w jedynym katowickim liceum, któremu na dodatek (za karę?) dano na patrona berlińsko-sowieckiego bolszewika. Bez „patrona” obyła się sosnowiecka willa przy ul. Pułaskiego (dla AF i germanistów p. dr Szewczykówy oraz bibliotekoznawstwa; universistas); na ten adres przyszła z Francji korespondencja *Université de Sibérie* zamiast *Silésie*: znamienna dla nich geo-tożsamość.

Czym była (wszak oryginalnie i gramatycznie rodzaju żeńskiego) i jest AF? Ponad stuletnim stowarzyszeniem, na wyrost zwane prawicowym, organizacją poza rządową, która na mocy umowy z rządem (dodajmy: jedno z modelowych partnerstw publiczno – prywatnych) ucząc języka w metropolii i na całym świecie służy eksportowej *civilisation*, pojęcia zarazem fundamentalnego i wiodącego dla rozpowszechniania „języka i cywilizacji” w minionym stuleciu aż po zeń rezygnację na rzecz aktualnych „kultur frankofońskich”, nb. którym warto poświęcić osobny akapit. Przy Uniwersytecie Warszawskim zaistniał Polski Komitet Współpracy z AF, jedna więcej hybryda dla nad ambitnego rektora po marcowego ‘68, tyleż prof. co tow. Rybickiego. Po okresie istnienia umownego Francuzom już pozory nie wystarczają (jak tow. Rybickiemu), domagają się konkretów np. w postaci kursów, oczywistych w ponad setce placówek AF w całym świecie. Więc tow. rektor podpowiada znany już ze wstępnego akapitu scenariusz p. Skibniewskiej – prezes TPPE, wyspecjalizowanym „towarzystwie przyjaźni” w istocie kontrolowanym przez wywiad i kontrwywiad. Bowiem lata 70-te charakteryzuje wielostronna i wieloosobowa francuska próba wpływania na mentalność i moralność Polaków przez agentów wpływu, podwójne funkcje, „lektorów” prosto z (= po latach w) ZSRS, itd. Nie dziwota, iż ktoś taki stanąwszy pod harmonogramem zajęć zaskoczony liczył – na „komunistycznej” uczelni – krocie „mgr”, których mimo programowej laickości kojarzył wyłącznie z.. watykańskimi prałatami, tj. Monsignorami. Jeden z prorektorów, któremu podporządkowano rzeczony ośrodek ostrzegał: *francuski wywiad ma u nas ponoć najlepsze osiągnięcia*. Wtórował mu jeden, drugi „protektor” UŚ z SB, od samego początku, ale i nie nazbyt nachalnie (wypada przyznać) obserwujący zagraniczne poczynania na terenie ówczesnego woj. katowickiego. Inny prorektor nie zezwalając na uruchomienie kącika prasy (regularnie dostarczanej do ośrodka) obcojęzycznej w czytelnym wydziale Nauk Społecznych z porozumiewawczym uśmieszkiem argumentował *no nie, nie możemy rozmiękczać młodych mózgów*. To jeszcze jeden element tamtej scenografii i obsady aktorskiej (tu prosiłbym PT. Czytelnika o pochopne, choć czasem zasadne, nie mylenie prorektora z „protektorem”).

Wypadałoby tu przynajmniej akapit poświęcić trzem podzbiorem francuskich współuczestników kiedyś realnej promocji tamtej cywilizacji: dyplomatycznym, lektorskie-

go i... wakacyjnego. Nie będzie prywatnym nadużyciem potwierdzenie, iż pisze to formalnie ich partner oraz przełożony, a w wielu przypadkach zaprzyjaźniony aż po kontakty rodzinne. W ramach wydziału kulturalnego Ambasady kadrowo obfity *ataszat* językowy warszawski i krakowski oferował ludzką panoramę (a)moralnych zachowań. Na jednym biegunie p. Henri Bourgeois, prawa ręka, kierowca itp. rzeczony Hrabiny, który czas umownie wolny pobytu w Polsce przeznaczył na dzieło życia – tłumaczenie... Pana Tadeusza (!), wydanego w latach 90-tych. Na drugim, też w latach 90- tych inny wydawca i „autor” własnych wspomnień (nb. nawet spolszczonych!) z pobytu, gdzie jednego roku bezdzietnie zamężna kochanka ginie w wypadku samochodowym, a druga zamężna zachodzi w ciążę rodząc ich dziecko... w Niemczech. Obie były moimi koleżankami na sosnowieckiej romanistyce, a niepozorny kogut bretońsko – galijski nie wzbudzał(by) aż takich podejrzeń, poza tym uzasadnionych: przeżyłem niejedno kierując t. zw. wakacyjnym kursem dla dwóch setek studentek krajowych romanistek z udziałem dwóch dziesiątków animatorów francuskiej cywilizacji; szokujące *hulaj du...* skoszarowania treści najcelniej (a mogłyby być bardziej, hmmm, pikantne) jęk prośby „animatora”: *daj mi jakiś inny pokój, co wejść do swojego już jakaś leży w łóżku, muszę się trochę wyspać przed zajęciami*. Płciowa polsko – francuska atrakcyjność (*attraction* znaczy też pociąg, przyciąganie,...) w parach trwałych i nietrwałych to osobny przedmiot pogłębionej refleksji, hmmm, również historycznej.

Wspomniana pierwsza – w 1973 roku – komisja egzaminu wstępnego łączyła romanistykę z germanistyką. Powiedziałyby się: historycznie symboliczne, europejskie prorocze, bezwiednie realizujące nie tak dawne porozumienie de Gaulle’a i Adenauera. Wspomnianemu jednemu liceum katowickiemu z językiem niemieckim i sowieckim patronem dzisiaj patronuje nasza Maria na carsko – rosyjskim paszporcie Skłodowska, małżonka Curie, którą pod koniec XX wieku młodzi Francuzi plebiscytem obrali na najważniejszą postać (nie tylko!) kobiecą ich współczesnej cywilizacji. Jeśli mowa o liceach w kontekście katowicko-frankofońskim trzeba podkreślić wychowanków i nauczycieli „Kopernika” z takimi nazwiskami jak – w tamtych czasach – choćby panie Markiewicz i Wyciszczok oraz p. Kaczmarek, po którego niespodzianym przedwczesnym zgonie (w stanie wojennym lat 80., co istotne np. dla takich uczniów jak Jurek Gorzelik) banita uniwersytecki miał zaszczyt przejąć nie tylko nauczanie (w jego domowej szafie znalazłszy setki stron słynnej wówczas metody Kaczmareckiego), ale też w krajowym konkursie uznaną tradycję recytacji poezji oraz ambitnego teatru frankofońskiego. Rzadko się zdarza, aby Profesor spoczął w grobie naprzeciwko wejścia do swojego liceum, który to adres na cmentarzu przy ul. Sienkiewicza podpowiadam uczniom i wychowankom.

Grób bowiem byłby figurą właściwą frankofonii, do której najpierw powolnego umniejszania, potem gwałtownego (internetowego!) upadku przyczyniały się kolejne pokolenia rodaków wielkiego de Gaulle’a (nad)używające angielskich „makaronizmów” do minimum komunikacji medialnej i biznesowej. W krajowym szkolnictwie prawdopodobnie zaprzepaszczone strukturalny moment obrony drugiego i trzeciego języka obcego. Przypadkiem brałem wówczas udział w takiej obronie w stu procentowo anglojęzycznej (i głęboko antyniemieckiej!) Holandii, gdy masowa akcja frankofońskich rodziców wybroniła (nie wiem na jak długo) szkolny francuski. Zarazem wypadałoby, powołując się na statystyki francuskie sprzed pół wieku, nazwać ówczesne woj. katowickie krajowym potentatem frankofonii. Każdy inteligent się zgodzi, iż świadome czytanie i osłuchanie, następnie pojęciowe odniesienia do każdego kolejnego języka wzmacniają immunologiczną odporność na wszelkie manipulacje i prostactwa, od rodzimej nowomowy i medialnego prania mózgu poczynawszy.

Nekrolog *à rebours* od czasu do czasu z mini światełkiem w anglo-tunelu? Niedawno poznałem polskiego ojca pallotyna, prawą rękę biskupa Hong-Kongu, koordynatora katolicko – azjatyckiej frankofonii. Podobnie jak w poprzednim stuleciu Ameryka Południowa, w XXI daleka Azja realizuje językową tożsamość – tu religijną – taką jak powyżej przypominiano tą o świeckiej Holandii. A przecież latami o. Remigiusz Kurowski służył paryskim pallotynom i w polskim Montmorency, i na *rue Surcouf* o. Sadzika, równie (co najmniej) głęboko zasłużonym niezależnej kulturze, co słynna inaczej „Kultura” z Maisons-Lafitte.

Inny świecko-religijny kontekst cywilizacyjnej nadziei przetwarza historyczny moment cezurą 15 kwietnia – pożarem Notre Dame i fantastyczną rekonstrukcją geniuszu średniowiecza najnowocześniejszymi osiągnięciami technologii XXI wieku. Rejestrowanie na wielu nośnikach poszczególnych etapów w niezliczonych miejscach i warsztatach przetwarzania materialnego i świadectw duchowego zjednoczenia – z materia gotyckiej katedry – setek wykonawców, artystów w swoim rzemiośle kilkunastu jeśli nie kilkudziesięciu specjalności.

Natomiast azjatycki fragment „kultur frankofońskich” współzawodniczył(ł) z afrykańskim, skąd jest wypierany przez chińską ekspansję inwestycyjno – gospodarczą lub militarną rosyjską spod znaku prywatnej armii tzw. Wagnera (ostatnio z Wybrzeża Kości Słoniowej = *Côte d'Ivoire*, nb. trudno o mocniejszy dowód na afro – francuskie Państwo). To raczej w metropolii coraz liczniej potomkowie afrykańscy odgrywają pierwszoplanowe role od Kościoła katolickiego przez polityków i rząd po nagrody literackie, kinematografię i całą kulturę. Dla jej krajowego zaistnienia i rozeznania wypadałoby oddać niepospolite zasługi Krzysztofowi Jaroszowi, profesorowi i byłemu dziekanowi Wydziału, mojemu studentowi z pierwszego rocznika 1973. By nawiązać do wstępnych akapitów powiedziałyby się: *c.b.d.o.*